

Za doliną róż



ELIZA ORZESZKOWA

Za doliną róż

W kwitnącym sadzie, jak w mlecznej topieli, stał ten domek stary, szary, trochę krzywy, z jednym kominem i małym gankiem, przed którym siedziały nadęte krzaki piwonii i stały się pulchne drobną zielenią nakrapiane zagony warzywne. Nizki mech, zielony i brunatny, który strzechę domu porastał, blask słońca zmieniał na połyskliwy pyszny aksamit. Nad tą strzechą, z blado-zielonych gałęzi wiązu, idylla ptasich śpiewów wzbijała się pod błękitne niebo; wzdymało ją niekiedy słodkie gruchanie oblatujących komin gołębi, lub przerynało ostre, długie pianie koguta, którego pióra z za niskiego płotu, na młodej trawie podwórka, świeciły purpurą i złotem. Z jednej strony domku i z drugiej wił się na znacznej przestrzeni pas tak samo kwitnących sadów, wśród których bliżej do drogi lub dalej od niej, większe, mniejsze, starsze, nowsze, stały takie same domki, z takimi samymi aksamitnymi płachtami mchu na strzechach, gdzieś tam ze złocistymi w słońcu latami świeżej słomy. Było ich kilkadziesiąt, a nad każdym prawie podlatywały stada gołębi i płynęły z kominów srebrne wstęgi dymu.

Ale domek pod wiązem, najgłębiej od drogi cofnięty ku brzegowi wązkiej, krętej, z za domków i sadów stalowo pobłyskującej Swisłoczy, tworzył z niskimi płotkami swemi wyosobnioną, w tej szlacheckiej okolicy, zagrodę, jakby na tle rozległego obrazu wyraźnie odcinający się szczegół.

Tego kwietniowego poranku po raz pierwszy zobaczyłam tę nadświsłocką okolicę i poznałam właściciela tej zagrody. Stał on w sadzie, tuż przy domku, plecami oparty o gruby pień wiązu, w postawie zupełnego spoczynku i spokoju. Wysoki, barczysty, w kapocie, której poły opadały na zrudziałe cholewy obuwia, w czworokątnej czapce, baraniem futrem oszytej, zdala już wyglądał na silnego wyrobniaka ziemi, na oracza i siewcę tych pól szerokich, płaskich, które, miejscami ciemne jak chleb razowy, a miejscami od młodej runi szmaragdowe, cicho teraz drzemały pod złotym płaszczem słońca. Zdala już widać było, że z pod brwi nawisłych wodził on oczyma po tych polach spokojnie i pogodnie. W nieruchomości jego było coś z pogody i wspaniałości siły, spoczywającej po pracy. Na jednej dłoni łokieć opierał, a drugą trzymał przy ustach krótką fajkę, z której ulatujący dym błękitnawy, nad baranią jego czapką czepiał się młodych gałązek drzewa. Kiedy ścieżką pod płotkiem biegnącą, a potem pasem murawy, przez koła zbruzdżonym i sad przerywanym, zbliżałam się ku niemu, na pozdrowienie moje odpowiedział grzecznym pozdrowieniem i lekkim podniesieniem nad głowę czapki, którą wnet przecież osłonił znowu siwiejące swe włosy i czoło poprzecznymi zmarszczkami zorane. Widok osoby obcej i nieznaną nie zmieszał go, nie uradował, ani przykrości mu żadnej nie sprawił.

Wśród tych płotków, które z zagrody jego czyniły osobne królestwo, pod tym wysokiem drzewem, ręką któregoś z pradziadów zasadzonym, był uprzejmym, ale zupełnie spokojnym. Siwe jego źrenice czyste i błyszczące, z trochę tylko ciekawości przesunęły się po mojej twarzy, poczem, zaraz gościnnie wskazał spory płaski kamień, tuż przy chropowatej ścianie domku leżący:

— Proszę usiąść i spocząć — zaprosił.

Fajkę, z której popiół wytrząsał, do kieszeni kapoty schował; stopą zdeptał kilka na trawę upadłych iskier. Potem ręce poniżej piersi złożył i wtedy dopiero, na tle ciemno-brunatnej kapoty ku sobie zbliżone, przykuć one musiały do siebie wzrok i uwagę patrzącego, bo wyglądały daleko mniej na zwykłe ręce ludzkie, niż na symbol lub hjeroglif. Wyglądały one na symbol czegoś potężnego i niezmordowanego, a jednak dziwnie stéranego, wykoszlawionego i czerniałego; na hjeroglif, który w swych boleśnie poła-

manych liniach, zawierał jeden z wiekuistych wyrazów ludzkiego losu. Widać było, że z pracowni natury wyszły one kształtne i nawet niezbyt wielkie, ale teraz ze skórą ziemistą, a tu i owdzie ceglastej barwy, z żyłami podobnymi do sinych powrozów, z mnóstwem dziwnych blizn i węzłów na palcach, niby plamami wapna białą paznogi u końców świecących, przypominały one żelazo lemieszki, ostrza kos, twarde grudy ziemi, srogie wichry, upały, zamiecie i długie, długie już przeżyte lata. Wogóle, zblizka wydawał się on daleko starszym niż zdaleka.

Około sześćdziesięciu lat mieć musiał. Reszta wielkiej, snadź niegdyś siły, utrzymywała mu jeszcze ciało w liniach prostych i wyniosłych, ale poniżej karku plecy jego były już przygarbione, a oprócz tych fałd, które pod opadającymi na nie siwiejącymi włosy, przerywały mu czoło, dwie inne, głębokie, rozdzielały ściągłe policzki od oczu z pogodną i czystą źrenicą, aż do ust bladych, trochę filuternie uśmiechających się pod krótkim i jeszcze płowym wąsem.

Kiedy uczynił parę kroków i grzecznie połą kapoty ocierał pył z kamienia, na którym usiąść miałam, spojrzałam, że stopy jego ciężko i powoli odrywały się od ziemi, i że zbyt krótki oddech grał mu w szerokiej piersi lekko skrzypiącą chrypką. Jednak nie znać było po nim wcale, aby cierpiał. Plecami znowu oparł się o drzewo, i z filuternym uśmiechem, zapytywał mnie o miasto, z którego przybyłam. W filuterności tej było coś trochę łagodnie urągłego.

— Przyznam się pani, — mówił, — że mnie, i zrozumieć nie łatwo, jak ludzie po tych miastach wyżyć mogą. Spojrzawszy, zdaje się, że tam i pięknie, bogato, wesoło; w oknach różne towary błyszczą, na ulicach mnzyczki grają. Ale zato ściski, huk, tłumliwość taka, jakoby gąszcz leśna i nieprzenikniona... A smrody, aż obłoków prawie nie widać! A jeden drugiego ściga, popycha! Żeby tak długo, to człowiek, zdaje się, albo-by ze wszystkim zgłupiał, albo-by go z pochmurności i smętku nieprzyrodzona śmierć spotkała...

Mówił powoli, z rozważą, z uśmiechem; gdy wspominał o obłokach, przelotnie spojrzenie ku niebu rzucił. Kiedy, odpowiadając, mówiłam o różnych złych i dobrych stronach życia wiejskiego i miejskiego, parę razy potwierdzająco głową skinął.

— Rzecz to pewna, — zaczął znowu, — że od smętków i trudności nigdzie na tym świecie człowiekowi ubiedz nie można. Głogowe drzewo na wszelkiej ziemi rośnie, a czy to w mieście czy na wsi, nikomu ptaki same do garści nie lecą. Ale zawsze tu lepiej. Może to i od uzwyczajenia zależy, że człowiek na wsi, a osobliwie we własnym zaciszku żyjący, nawet w smętku i umęczaniu, łatwiej sobie pociechę i miłe odpocznienie znajdzie... Czy pani da wiarę, że kiedy ja nieboszczkę żonę swoją utraciłem, i myślałem, że z żalu za nią duszę wyzionę, to mnie ot te drzewo i te ptaszki, co w jego gałęziach śpiewają, i te półko, które trzeba było codzień to z pługiem, to z broną nawiedzać, przy życiu i rozumie ostać dopomogły?

Trochę zmieszany umilkł.

— Człowiekowi prostemu trudno to wszystko, co czuje, wypowiedzieć, — dokończył; — a osobliwie na starość i język robi się ciężki.

Uważnie, ciekawie przysłuchiwał się temu, co o paru wielkich miastach opowiadałam, a gdy umilkłam, zaczął znowu:

— Mało ja o tym wszystkim wiedzieć mogę, bo, nie wstydząc się, powiem pani, że przez całe życie, dwa razy tylko przyszło mi prawdziwe miasto nawiedzić, raz w kawalerskich jeszcze czasach z fantazyi i ciekawości, drugi raz, z chorą żoną, do doktorów. Do miasteczek często gęsto jeździć wypada, to na targ albo kiermasz, to za różnymi tam interesami, do kościoła też uczęszczam, krewnych nawiedzam, ale to wszystko w bliskości o milę, o dwie, najwięcej zaś kiedy o trzy... A dalej, to tylko dwa razy w życiu swoim wyjeżdżałem. Nieboszczka moja żona do Ostrejbramy piechotą chodziła; ja nie. Mnie i tu do Pana Boga pomodlić się dobrze: czy to w polu, czy pod tym drzewem, czy też kiedy rankiem jutrzeńka z nad wody wychodzi, a ptactwo i żywioł wszelki po swojemu Pana chwalić zaczyna.

Z zamyśleniem, ciszej, po niebie, trawie i kwitnących drzewach wzrokiem wodząc, dodał:

— Wszędzie jest Pan Bóg... w niebie, na ziemi...

— W sercu uczciwego człowieka... wtrącałam.

Przyjaźnie na mnie popatrzył.

— A tak, sprawiedliwie pani powiedziała. Uczciwość, to najpierwsza i najważniejsza religia, a kto uczciwy, ten Boga w swoim sercu ma...

Dziwny blask cichego zadowolenia, prawie szczęścia, zajaśniał mu na sfałdowanym czole, z którego na chwilę czapkę zdjął, i znowu nią głowę osłoniwszy, fajkę z kieszeni, a woreczek z tytuniem z-za poły kapoty wyjął.

Ruchem tym odsłonił na piersi białą, kuźelną koszulę z kołnierzem u szyi tasiemką związanym, a kiedy tytoń do fajki nakładał i głowę pochylił, z za grubego, ale śnieżnie białego płótna, szyja jego wychyliła się, aż do czerwoności ogorzała z sinemi sznurami grubych żył, koścista i chuda silnego, ale starego człowieka.

Chwilę milczeliśmy oboje, w zamian szczygły śpiewały i pliszki na zabój świegotwały w gałęziach wiązu, a z wnętrza domku, wyraźniej dochodziło głuche, miarowe stukanie tkackich krosien. Biała gołębicą fruwała z nad strzechy i uleciała w przeciwną stronę sadu; za nią przemknął powietrzem różowy gołąb', i wnet oboje w gęstwinie kwitnących wisien zagruchali to razem, to znów naprzemiennie.

W powietrzu zmaćniało się coś, zadrgało; puszysty zwój białych obłoków przepływał pod słońcem zasłaniając je, to odsłaniając. Ruchome cienie ślizgały się po drzewach i przykrywały trawę, liście wiązu szeleściły, kogut za płotem kilka razy przeciągle, żałośnie zapiał. Ale trwało to przez parę minut zaledwie, po czym, puchy obłoków popłynęły dalej błękitnym przestworzem, kogut umilkł, drzewo znieruchomiło, świat stanął znowu w jasnej i cichej pogodzie, wśród której tylko szczygły rozśpiewały się ze zdwojoną mocą i słodziej jeszcze, miłośniej niż wprzód gruchały gołębic.

We wnętrzu domku, tuż za ścianką, przy której siedziałam, krośna tkackie rytmicznym tentnem zegara, stukały ciągle, ciągle.

W tém, ze wszystkimi otaczającymi nas odgłosami natury i życia, złączył się śpiew z tak niewielkiej odległości dochodzący, że dokładnie rozpoznać było można nietylko nutę jego, ale i słowa. Rozgłośnie, donośnie, każde słowo pieśni z wyrazistością wielką wymawiając, męzki, młody, czysty głos, wśród szerokiego pola śpiewał.

„O Boże mocny, Boże nasz łaskawy,
Niepojęte są te czynów twoich sprawy,
Kogo chcesz dźwigniesz, kogo chcesz poniżysz,
Fortuny umkniesz, to ją znów przybliżysz.

Nuta téj pieśni przypominała kościół i psalmy. Przewlekła, poważna, prośbą i czią szeroko płynęła w powietrzu, jedną jak gdyby całość splatając z błękitno-złotą barwą dnia, i coraz mocniejszą wonią zoranęj a rozgrzanęj ziemi.

Gospodarz zagrody fajkę od ust odjął, ku polom spojrział.

— A to już Kazio teksty swoje wywodzić zaczął. Młodemu, a głupiemu tylko śpiewanie w głowie...

Żartobliwie to mówił, uśmiechał się znowu, ale szczerzej i cieplej niż wprzód. Na polu, po zagonie, szedł człowiek, którego rysy znikwały w oddaleniu, lecz z którego wysmukłej i zgrabnej postaci odgadnąć było można młodość i rzeźkość.

Szedł powoli, lecz lekkim i doskonałym miarowym krokiem jedną ręką trzymał u piersi okrągłą kobiałkę ze słomy, drugą miarowym także ruchem rzucał na zagon krótkie, a gęste i wciąż jednostajne deszcze ziarn.

Powietrze było tak przejrzyste, że gdy przybliżył się ku końcowi zagonu, drogą tylko z sadem zagrody rozdzielonego, widać było wyraźnie, jak te ziarna bujne, żółte, okrągłe, blisko siebie, a przecież każde z osobna pomykały ku dołowi i padały, wciąż padały na ciemne puchy ziemi.

Nad tą zaś rosą, która oblewała ziemię, z towarzyszeniem miarowych stąpań i nieustannych, rytmicznych ruchów ręki młodego siewcy, brzmiała dalej i szeroko rozlewała się po przestworzu poważna psalmowa nuta:

— „Z małego wielkim, wnet z wielkiego małym.
Uczynisz snadnie, strząśniesz światem całym,
Króla pacholkiem, a królem oracza,
Nędzarza panem, nędzarzem bogacza.”

Ta nuta i te słowa, wydawały się także jakąś siejbą rzuconą w powietrze, gdy tamta padała na ziemię. Wydawało się też, że i ona sprowadzić musi plon jakiś, tylko napowietrzny, niewidzialny, niewidzialnie ludzi żywiący. Któż to był ten Kazio, który rzucał na świat te dwie razem siejby?

— Czy to syn pana?

— A jakże! groch sieje. Trochę to już na tę siejbę i spóźniona pora, ale inaczej nie było można, bo przymrozki ziemię chwytają. A groch, widzi pani, to takie ziarno, że jak pod przymrozki je rzucić, z całego zasiewku nic nie będzie...

Siewca teraz przeszedł na drugi zagon, i plecami do zagrody zwrócony, oddalał się w stronę przeciwną. Ziarno padające na pole widzieć przestałam ale słowa pieśni przez chwilę jeszcze rozróżniałam wyraźnie.

— Słabemu moc dasz, wnet słabość mocnemu,
I w lot zwycięstwo dziś zwyciężonemu.

Teraz to już słowa przestały mi być słyszalne i tylko nuta ich, w niewielkiem oddaleniu, nie utraciła nic z rozciągłości swojej i monotonnej, poważnej melodyi.

Stary człowiek w kapocie i baranięj czapce, nad którą znowu wzbijały się i na młodych gałęziach zawisały sine zygzaki dymu, profilem ku mnie zwrócony, ku polom patrzył.

— Cały to mój gospodarz teraz i wyręczyciel... Wczas też wyrósł, bo choć dusza i chętna była-by jeszcze do pracy, gliniane ciało domaga się odpocznienia. A jakże!

Śmiał się cichym, piersiowym śmiechem, w którym słyhać było i rozradowanie głębokie, i do gwizdania fleciku podobną chrypkę. Zapytałam, co-by ta chryпка oznaczała, i jakie dolegliwości w piersi uczuwa? Czy w twardém życiu, tak bardzo przywykł do fizycznych cierpień, że o jedno mniej, albo więcej wcale nie dbał, czy też tak był zewnętrznym światem zajęty, że na siebie samego uwagi nie zwracał? ale pytanie moje zdziwiło go i nawet rozśmieszyło. Ręką machnął.

— Głupstwo! zaśmiał się, żeby więcej biedy na świecie nie było! Wiadomo, starość grubijanka nikogo nie zdoła. Mnie też głos odmieniła. Przeszłego roku ta dudka do piersi mi weszła, kiedy z Kaziem na mokrej łące przenocowałam. Daj Boże moim dzieciom tyle dni szczęśliwości, ile ja razy w moim życiu na mokrych łąkach i na zgniłych kopcach nocowałam, a nigdy nie szkodziło. Teraz zaś szkodziło. Starość. Jak bardzo rozkaszałam się, córka ziółek ugotuje, napiję się i ulży, a choć i nie ulży, mnie o to bynajmniej! Umrzec od tego może i nie umrę, a choćbym i umarł, to co? Śmierć czasu nie opowiada, kiedy podoba się jej, to dziś przyjdzie, kiedy nie podoba się, to jeszcze i za lat dziesięć. Dzieci, chwała Bogu, same sobie radę już dadzą. A jakże! Wielkie porosły wszystkie, i aby im tyle rozumu co urody.

Wewnętrzny spokój tego człowieka był niezmaconym i w dodatku oświetlonym łagodną, ciepłą wesołością, płynącą niewiedzię z kądem: może z czystego sumienia, zadowolonego serca, z przestronnego i świeżego pałacu przyrody, w którym życie spędził, a w tej chwili może i z tej pieśni, której nietylko nuta ale i słowa, znowu zblizka i wyraźnie od pół dochodziły.

Młody siewca szedł zagonem, znowu twarzą ku zagrodzie obrócony, krótkie, a ciągle deszcze ziarn na ciemną rolę rzucał i śpiewał:

— „Fortuno ludzka, twoja to zabawa
Rzucać jak piłką; wszelka nasza sprawa,
Od ciebie swoją ma dependencyą,
Z ciebie upadek, z ciebie promocyą!”

Fajkę ku piersi usuwając, to znowu na chwilę przybliżając do ust, gospodarz zagrody powoli z rozważą, z częstymi uśmiechami rozmawiał dalej, opowiadał.

Siedmioro dzieci Pan Bóg mu był dał, ale dwoje zawczasu też odebrał, z pięciu zaś pozostałych troje w świat poszło, a dwoje najmłodszych w domu zostało. Już to na zawsze jeden tylko Kazio przy nim ostanie, bo Jadwisia, tak samo, jak dwie starsze siostry, niebawem pewnie za mąż pójdzie. Takie już przeznaczenie kobiety. Dwie córki jego były

więc zamężne, a co się tyczy najstarszego syna, ten w młodych jeszcze latach na obowiązku poszedł. Czytać, pisać, rachować umiał, i wszystkie jego dzieci to umieją, bo cośiś przez trzy lata wspólnie z sąsiadami guwenera do nich trzymał. Ale ten jego najstarszy, osobliwą zdolność do nauki miał, książek i świata nad miarę był ciekawy, tedy wojskową służbę odbywszy, pisarzem najprzód w jednym sąsiednim dworze został, a potem do innego pana, daleko, bo aż o trzydzieści mil ztąd na ekonoma wyjechał. Syna tego bardzo rzadko teraz widuje. Nie zapomniał on o ojcu i o domu, że dwa razy na rok listy przysyła, ale przyjeżdża ledwie raz na lat parę, a teraz, to już i czwarty rok jak nie był. Kawał świata, wiadomo! przebywać go często ani czas, ani kieszeń nie pozwalają, teraz osobliwie, kiedy żonatym już jest i troje dzieci własnych ma. Nareszcie, co z oczu zbiega, z pamięci wycieka. Największe kochania gasną bez dmuchania. Do tego, wie on dobrze, że stary ojciec bez pomocy nie jest, bo i Kazio już dorosły i Jadwisia póki co, w domu jeszcze siedzi. A te dzieci niezupełnie tak jak inne. Wyrosły bez matki, która wprędce po urodzeniu Jadwisi, więc osmnaście lat temu, umarła. On im był tedy i ojcem i matką, ale że, przy roli pracując, nie zawsze miał czas ich doglądać, jedne drugim niańkami były. Uśmiechając się, wypowiedział litanią imion swoich dzieci.

— Franuś na ręku swoich wnosił Stefkę i Elżusię, Elżusia Kazia, a Kazio Jadwisię. Nacierpiał się dość dzieciska, osobliwie młodsze, a zawsze nietyle, ileby może od macochy cierpieć musiały.

Kiedy owdowiał, czterdzieści tylko lat mu było. Ludzie do drugiego ożenienia się namawiali, nawet niebrzydkie i nieubogie panny swatali, ale on nie chciał. Piérwsza rzecz, że macochy dla dzieci nie chciał, a druga, że tamtéj, nieboszczki, zapomnieć nie mógł. Szesnaście lat z nią przeżył, a była taką, że i w śmierci ją opuszczać za niegodne i sercu trudne uważał. Zresztą, żeniąc się po raz drugi, Bóg wie na jaką-by natrafił!

— Bo to — uśmiechnął się — ani na wsi, ani w mieście, nie można wierzyć niewieście, a na tym świecie, poczwiej żony, tak samo jak ojca i matki, za grosz nie kupisz.

Chciałam wiedzieć, ile posiadał ziemi. Chętnie odpowiedział, że ma jój morgów piętnaście, licząc w to mokrą łączkę, na której właśnie przeszłego lata piszcząca dudka do piersi mu wlaża.

— Nie jest to wiele, ale i niemało — mówił. — Ludzie mniej mają a żyją. I my chwala Bogu, od dziadów pradziadów żyli tu, łaski bozkiej tylko potrzebując. Jedna tylko bieda, że w bezleśnych stronach drzewo drogic, tedy chatę wyreperować i gumno nowe postawić niełatwo.

Ale nad tym kłopotem niech już sobie Kazio głowę łamie. On tu gospodarzem teraz jest i na zawsze ostanie. Ożeni się, może z posagiem dziewczynę weźmie, a jeżeli nie, to jakkolwiek tam tę biedę z chatą i gumnem zmoże. Wprędce téż pewno i ożeni się, bo gdy Jadwisia za mąż pójdzie, pusto i smutnie zrobi się w chacie.

Żartowałam, że wkrótce wnuki mieć będzie, nie takie już jak po tamtym synie, których nigdy jeszcze nie widział, ale takie, od których w tym sadzie i na tym podwórku zrobi się wesoło, wesoło!

— A jakże! zaśmiał się, już to inaczej nie może być! Już tak być musi, aby i staremu roboty jaka na świecie była! Choćby wnuki kołysać!...

— I całować! — dorzuciłam.

— A jakże! i bez tego nie obejdzie się pewno! Niema kochania bez całowania!

Cicha wesołość, która i wprzódy pobłyskiwała mu w oczach i uśmiechu, wśród żartobliwej rozmowy o wnukach, wzmogła się w śmiech głośny i długi, a w śmiechu tym i w zamaszystym ruchu ręki, który uczynił, ozwało się niby echo jego raźnej, rubasznój, ognistej młodości.

Od paru minut, rytmiczne stukanie krosien we wnętrzu domku, przestało wtóżyć rozlegającym się w sadzie, gruchaniom gołębi i szczebiotom szczyglów, natomiast, tuż nad moją głową, z za szyb zamkniętego małego okna, zabrzmiał donośnie głos kobiety.

— Ociec! z kim ociec rozmawia?

Stary z uśmiechem na okienko patrzył i milczał.

— Z kim tam ociec rozmawia? — trochę niecierpliwie powtórzył głos.

— Kiedyś ciekawa, to zobacz! — z flegmatyczną żartobliwością odpowiedział.

Podniosłam nieco głowę. Jednocześnie, ze stukiem, okienko otworzyło się i zamknęło tak prędko, że niby w świetle błyskawicy mignęły mi tylko przed oczyma; wazonik

z błado zieloném piżmem, biała koszula, jasny warkocz i twarz młodej dziewczyny, tak gorąco zapłoniona, że błękitne jęj oczy wyglądały jak niezabudki w krzak karminowej róży wplątane.

Przez małą szybę patrzałam do wnętrza domku, widziałam świeżo pobieloną świetlicę, grubą podłogę, ajerem posypaną, łóżko z pościelą, wielką skrzynię z bombiastym wierzchem, część krosien zasnutych granatowemi i czerwonemi niciami, ale dziewczyny nie widziałam. Jakby w ziemię zapadła. Przez szpary okienka dochodziły mię wyraźnie zapachy ajeru i piżma, słyżałam, jak stary, za plecami memi z niezadowoleniem mruczał.

— Wstydiłwa! schowała się! Dziczka w lesie wyrosła, czy co?

Nagle drgnęłam. Niespodzianie i gdzieś bardzo blisko, silny głos jakiś, na nutę skoczną i raźną huknął:

— „Hęj dziewczyno kochana
Czemuś taka splakana,
Czy rozbiłaś dzban może?...”

Wydało mi się, że ta piosnka nad samą głową moją wybuchnęła, ale gdy twarz ku sadowi obróciłam, przekonałam się, że zabrzmiała ona za gęstemi splotami grubęj jabłoni, jak z za śnieżnego, napowietrznego haftu, wyszedł ten sam chłopak, który przed kwandransem siał groch na polu i, z głową podniesioną w górę, na gołębie może, które strzechę oblatywały spoglądając, śpiewał dalej:

— „Pozwól, chwacko się sprawię
Ślicznie dzbanek naprawię,
Tylko nieplacz...”

Teraz, spostrzegłszy osobę obcą, u ściany domu siedzącą, umilkł i na chwilę pod kwitnącą jabłonią stanął. Dąb to był nie mężczyzna, ale dąb, który żadnej zimy srogiej, ani ulewy, ani gromowego uderzenia jeszcze nie znał: młody, wysmukły, zgrabny. Pod białą koszulą i przerynąjącemi ją na krzyż szelkami, plecy miał gładkie i wyprostowane, policzki ściągłe, ogorzałe i rumiane, pod ciemnymi brwiami duże oczy z siwą źrenicą. Wąs złotym puchem zaledwie wysypywał mu się nad koralową wargą, złotawe włosy świeciły z pod zgrabnej czapeczki. Przestał śpiewać i na chwilę, pod jabłonią stanął, ale nie zadziwił się wcale, ani zmieszal, a wkrótce szedł już ku domowi krokiem szerokim i giętkim, ręką, w której pustą kobiałkę trzymał, zamasyżcie nieco u boku wymachując. Takim samym za młodu musiał być ojciec jego, który, przez życie uciszony i przygaszony, teraz jednak ze spokojnym i zarazem filuternym swym uśmiechem z syna żartować zaczął.

— Więćej tam pewnie na polu naśpiewałeś, niż nasiałeś! Aż wróble na dachu dziwowały się twojemu śpiewaniu. Ze trzy garnce grochu wysiałeś, co?

— Już, ojczcie, tyle ile trzeba było wysiałem, — dźwięcznym głosem odpowiedział chłopak i, grzecznie przede mną czapki uchyliwszy, z kobiałką w spuszczonej ręce obok ojca stanął.

Miał rok dwudziesty piérwszy, i nad wiek swój wydał mi się dojrzałym. Wprawdzie, siwe źrenice jego miały dziecięcą prawie, kryształową przejrzystość, ale w postawie była powaga dojrzałej siły, a usta układały się w wyraz zamyślenia. Łatwo było-by dymyślic się, że był on tym samym, który na szerokim polu śpiewał pieśń z poważną psalmową nutą, i że zaśpiewanie skocznej piosnki o zapłakanej dziewczynie i rozbitym dzbanku, musiało być wybrykiem młodej i szumnej, lecz u niego nieczęstęj wesołości. Stary tymczasem, bez żartu już prawil:

— A pani w łaskawości swojej, doprawdy, pieśń twoję chwaliła.

— Piękna pieśń, — potwierdziłam.

Śmiało i poważnie na mnie patrząc, z naiwném lecz głębokiem przekonaniem, powtórzył:

— A piękna!

— Jakim sposobem jęj się nauczył?

— Jest napisana, — odpowiedział.

— Chciałabym ją całą przeczytać.

— Czemuż nie? — uprzejmie podjął stary i do syna się zwrócił.

— Idź-że, przynieś pani swoje pieśni!

Chłopak zawahał się, trochę jakby zawstydził.

— Nic tam osobliwego niema... — zaczął.

— Idź-że zaraz i przynieś! — powtórzył ojciec.

Szerokim, giętkim swym krokiem ku małemu gankowi podszedł, a po chwili trzymałam w ręku dwa spore zeszyty, z których jeden na okładce swój nosił napis: *Teksty nabożne*, a drugi *Teksty świeckie*. Biedne to były okładki, stare, zbrudzone, połamane: biedny papier, z którego składały się zeszyty: żółty, siny, szary; biedne pismo papier ten okrywające: niewprawne, koszlawe, poplamione! Z nad tego papieru i pisma, wzrok na młodego człowieka podnosząc, zapytałam:

— A nuty zkąd?

Wzruszył lekko ramionami.

— Czy ja wiem? — odpowiedział.

Ale po namyśle, z uśmiechem, w którym z za warg koralowych białe zęby mu błysnęły, a jednak i z powagą dokończył:

— One prawie w powietrzu są rozsypane, i kto sobie chce, ten je łapie!

Kilkanaście miesięcy minęło. Dzień był letni, skwarny, słońce za wysokimi murami kamienic niewidzialne, rozpałało przecież te mury i kamienie bruku do gorącości takiej, że cała ulica długa a wązka, wydawała się olbrzymim, dusznym piecem.

Na ulicy panowały ścisk, huk, tłumliwość taka, jakoby gęszcz leśna i nieprzenikniona. Obłoków prawie nie było widać, bo dmący od czasu do czasu wiatr upalny i suchy, z pod kół powozów, z pod stóp przechodniów podnosił gęstą kurzawę i żółtym tumanem zawieszal ją w powietrzu, lub skłębionemi słupy podnosił ku niebu, Wystawy sklepów za spuszczonei firankami i roziskrzonemi szybami okien drzemały, ludzie z twarzą zmęczonych pot ocierali i ścigali się, popychali, śpieszyli, śpieszyli do cienia i ochłody mieszkań, biór, sklepów, warsztatów.

W tém, pomiędzy liczne odgłosy, które o wczesnej lecz już bardzo upalnej godzinie napełniały miasto, wmieszał się odgłos zupełnie do wszystkich innych niepodobny, a przez każdego od razu usłyszany. Był to odgłos turkotu, do wszystkich innych turkotów niepodobnego, a przeciągającego się nieustannie, monotennie i w miarę przybliżania się rosnącego w prawie ogłuszającą siłę. Na tle zwykłej wrzawy ulicznej, rozlegało się to nakształt nieskończenie przedłużanego huczenia basu, wśród cienkich i drobnych nut wiolinowych. Obracania się kół, w huczeniu tém słychać nie było, tylko w ponurą jego basowość wpadały czasem do klekotu podobne uderzenia o bruk kopyt końskich, lub metaliczne brzęki łańcuchów. Nikt jeszcze nie wiedział zkąd huczenie to pochodziło, a jednak mnóstwo ludzi stanęło na chodnikach, z twarzami obróconemi w stronę, z której się ono zbliżało; a kilka jednokonnych dorożek pośpiesznie zjechało na stronę, lub nawet pod sklepiania najbliższych bram zawróciło. Domyślając się, albo nie domyślając widoku, przez ten odgłos oznajmianego, wszyscy czuli, że to, co się zbliżało było czémś ogromnym, centnarówem, potężnym, niezmiernie ważnym.

Jakoż, u skrętu ulicy w żółtej kurzawie, ukazał się naprzód człowiek, jadący konno i od złotych ozdób ubrania błyszczący, za nim bardzo zwolna poczet konnych i zbrojnych ludzi, a za tym pocztem dopięro, z za skrętu ulicy wyjeżdżać i w nieskończoność jakby wyciągać się zaczął sznur koni, żelaznemi łańcuchami połączonych z sobą i ciągnących sznur przedmiotów wielkich, cylindrowych, ukośnie na zielonych kołach położonych, z których bronzowej wypolerowanej powierzchni słońce krzesalo oślepiające blaski.

Po dwie pary, idące, konie pobrzękujące sprzęgajacemi je łańcuchy, z wygiętymi karkami, z szerścią jak smoła czarną, ciągnęły te złote rozplomienione cylindry, które ustami zwracały się ku niebu, a każda para posiadała jeźdźca i kierownika swego, i za każdym cylindrem jechał zbrojny, złotemi ozdobami ubrań połyskujący poczet. Tak na wązkiej ulicy, w spiecu i kurzawie, z nieprzerwanem basowem huczeniem, z klekotem końskich kopyt i brzękiem łańcuchów, długim sznurkiem sprzężonych koni, zbrojnych pocztów i rozplomienionych armat, wyciągnęła się opuszczająca miasto artyleria.

Jak żelazna pokrywa przytłumia szum gotującego się w kotle kipiątka, tak przesuwa-
jący się ulicą widok i huk, stłumił uliczną wrzawę. Przechodnie ścianą na ulicach stanęli.
Była to ściana, oczyma ciekawemi i wzruszonymi natykana. Świadomie lub nieświadomie
wszyscy czuli, że oglądają rzecz która na globie ziemskim, jak rylec na wózku, wyciska
rysunki dziejów. Wszyscy też wiedzieli, że ta rzecz ogromna kulami i ludźmi wyładowa-
na, kieruje się w daleką, południowo-wschodnią stronę, w której teraz właśnie toczy się
wojna.

Nagle, wzrok mój pochwyliła i do siebie przykuła twarz jednego z jeźdźców, nie tych,
którzy pocztami armaty oskrzydłali, ale tych, którzy je wieźli. Ktoś znajomy! ale kto?
Jak młody dąb silny, wysmukły i zgrabny, plecy, pod czarnym, żołnierskim, mundurem
wyprostowane i gładkie, zarys ust zamysłony...

Tak, poznałam go; był to Kazio z nadświslockiej okolicy, chłopak z domku pod wią-
zem i z pod kwitnącej jabłoni... Jak przykutny, jak kamienny na jednym z dwu czarnych
koni siedział; przed nim inny człowiek w takim samym ubraniu kierował parą drugą;
a za nim, na zielonych kołach sunęła armata.

Śliczna to była, złota, zgrabna, ku niebu patrząca armatka! Wdzięków jej nawet ku-
rzawa szczydziła, szybko ześlizgała się z jej wypolerowanego lona, samo słońce ubierało ją
w suknię błyszczącą i osypywało pocałunkami, z których tryskały płomienie. Zdawała się
być drogocennym klejnotem świata z miłością i sztuką wymodelowanym odłamek moc-
nego bronzu ziemi; i jak klejnot drogocenny, jak część samego szpiku ziemi oskrzydlał
ją i strzegł poczet konnych mężów.

W tym długim, huczącym ściśliwym sznurze koni, wozów, żelaznych łańcuchów
i uzbrojonych mężów, Kazio wydawał się atomem, automatem, ziarnkiem pyłu w chmu-
rze kurzawy, tak zupełnie niczym, jak niczym jest wola człowieka, wobec mocy żelaza,
dusza człowieka wobec bronzowych i ołowianych kości ziemi.

Od czasu, gdy go widziałam, zmienił się trochę, na twarzy schudł, w ramionach jeszcze
poszerzał, bujniejszy wąs puścił się mu nad wargą, teraz do zbladłego koralu podobną i oczy
jego z większej zda się głębokości na świat poglądały. Nie były już one, ani kryształowe, ani
ruchliwe jak dawniej, lecz omglone i nieruchome, ze szklistą zadumą utkwily w dalekim
punkcie przestrzeni.

Co tam daleko spostrzegal? Domek pod wiązem? pola szerokie? gołębnie nad strzechą?
czy kraje nieznanne? wysokie góry, bogate winnice, dolinę róż? czy walkę? czy śmierć? Któż
wiedzieć może? Na wojnę jechał.

...„Fortuno ludzka, twoja to zabawa
Rzucać jak piłką...”

Sporo czasu minęło znowu. Na wilgotnej drodze, pod niebem jesiennymi chmurami
uslanem, u brzegu zczerniałego pola, na które stara wierzba sypała osiwiacie językowate
swe liście, stałam naprzeciw tego człowieka zmieszana, prawie przelękniona, niewiedząca,
jak mówić mu o tym, o czym wiedziałam, że myśleć on musi ciągle.

Okolica stała teraz cała w pomarańczowo-żółtych i brunatnych liściach, z za których
tu i ówdzie wychylał się mętny rąbek Świsloczy; wysoki wiąz przybrał cielisto-drewnianą
barwę i deszcz misternie pręgowanych liści opuszczał na mokry i żółkły mech strzechy,
pod którą domek szary, stary, bardziej niż wprzód krzywy, niżej niż wprzód przysiadł
ku ziemi. Ogród nagimi badyłami sterczał, gołębnie skryły się przed wilgotnym chłodem,
w czerwonych liściach jabłoni krakała wrona.

Nadchodząc, zobaczyłam go z pługiem parą koni zaprzężonym, wychodzącego z za-
grody. Konie i pług na skraju pola zatrzymał, ręką czapki baranięj dotknął, stanął, i jakby
czegoś ode mnie oczekując, milczał. Zgarbione jego plecy zakreślały wypukłe półkole, na
policzkach, obok tej fałdy, która je przedtem rozdzielała na dwoje, powstała druga, trze-
cia i widocznie powstawać zaczynała czwarta. Wyglądał bardzo staro i nędznie; ciemna
kapota niezgrabnie obwieszała jego wychudłe ciało, koścista, ciemna szyja, wychylała się
z pod niewybielonego płótna koszuli, a piskliwa dudka, ta, co z mokrych traw łąki do
piersi mu wlaża, chrypiała i gwizdała tak, że ją już o kilka kroków słyszać było.

Widząc, że milczę, sam rozmowę zaczął.

— Pani więc... — zaczął i usta mu zadrżały, a siwe oczy z dziwnym wyrazem skargi i zamyślenia nieruchomo we mnie tkwiły.

Widziałam i zapytałam go, kiedy i jakim sposobem sam o tém uwiadomiony został.

— A jakże? — z ręką na ramieniu pługa opartą, odpowiedział — papier przyszedł, a w tym papierze... tak i tak... pisali... taki i taki... z takiej i takiej wsi. Wtedy i wtedy... honoru dostąpił... w batalii od kuli... familii oświadczyć przykazano...

Umilkł. Mówił teraz tak powoli, że pomiędzy jednym wyrazem a drugim upływało parę sekund, był zaś w mowie ludzkiej jeden wyraz którego za nic wymówić nie mógł. Dwa razy już przychodził mu on na usta, i dwa razy dobywający się mu z piersi wnętrza chłodny powiew, wargami jego zatrząsł, jak zwiędłymi liśćmi, i ściał je lodem milczenia.

Zapytywałam go teraz o to, co mię zawsze, gdy o nim myślałam, dziwiło. Czy nie spodziewał się, że syn jego losowi ogólnemu ulegnie? Czy o tém nie myślał? Na kilka miesięcy zaledwie przed oddaleniem się jego z domu był tak spokojny! Obaj byli tak spokojni!

— A jakże! — zaczął — naturalna rzecz, że nie spodziewałem się, nie myślałem. Mówili, że kiedy ojciec ma tyle i tyle lat, to syn przy nim ostać powinien... A ja i więcej jeszcze miałem. Mówili, że kiedy syn jeden u ojca... A on że jeden przy mnie był, pokazało się że trzeba było jeszcze żeby.. tamtego na świecie nie było...

Niżej pochylił głowę.

— Żeby tamtego nie było... żeby tamten nie żył... — zaszeptał.

I nagle stała się z nim rzecz jakaś straszna. Twarz odwrócił, rękę ku czołu i piersi podniósł.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... — wymówił prawie z krzykiem, w którym czuć było i przerażenie ogromne i jakiś srogi, samemu sobie uczyniony wyrzut. Byłam pewna, że popełnił on w téj chwili grzech żalu nad trwającym życiem jednego z synów, i że ten grzech aż do śmierci będzie mu przytłaczać i dręczyć sumienie. Po chwili jakby uniewinnić się usiłując, jakby przed kim tłumacząc się, z szerokimi giestami ramion i rąk, mówił:

— Czy ja z tym drugim żyję? czy ja go widzę kiedy? Czy ja jego żonkę i dzieci znam? Pięć lat już nie przyjeżdżał... na wielkanoc ostatni raz pisał, świąt wieszował, chustkę na szyję i funt tytoniu w prezencie przysłał... „dobrze mnie powodzi się, ojczy, pisał, do domu nie powrócę i sam orać nie będę, bo już-bym i nie potrafił.” Ot jak! Niech jemu tam Bóg Najwyższy we wszystkim błogosławi, ale on nie mój... tamten był mój...

Pobłogosławiwszy syna, którego przed chwilą ciężko w myśli skrzywdził, uspokoił się i ciszej, w ziemię patrząc, dokończył.

— Cóż robić? Umarli z grobów nie powstają! Cierpieć trzeba... Cierpliwość w niebo wwoździ...

Spojrzał na chmurne niebo.

— Bóg wysoko... — wyszeptał, a wzniesiony wzrok jego nabierał coraz więcej zdziwionego, pytającego wyrazu. Ramionami powoli wrzuszając, bardzo cicho, chmur zapytywał:

— Za co? na co? dla jakiej przyczyny?

Potém, jakby nagle coś sobie przypomniał, na mnie spojrzenie zwrócił i zapytał:

— Niechaj pani będzie łaskawa mnie powiedzieć, w której to stronie znajduje się ta... Turcja? Ukazałam mu południowy, ku wschodowi zbliżony punkt widnokregu. Domyślałam się, o co mu chodzi. Chciał wiedzieć dokładnie, w którą stronę za znikniętym synem oczy ma obracać. Może tam na chmurze deszczowej, czy na różanym płaszczu jutrzeńki, Bóg litościwy ześle mu cień Kazia... Natychmiast téż we wskazanym punkcie widnokregu wzrok utkwiał, patrzył, patrzył i głową powoli trząsł.

— Dalekoż... on pozostał... daleko... za lasami... za górami...

— Za doliną róż — dodałam.

Wyrazy te uderzyły go i zadziwiły.

— Za jaką doliną? — ożywiając się nieco, zapytał.

Za nic w świecie nic-bym mu teraz nie powiedziała o górach ostrych, wąwozach nieprzebytych, wałach śnieżystych, przepaściach, które wiekuiście i nieubłagane otwierają

żarłoczne swe paszcze, ale długo mówiłam mu o dolinie rajskiej, od krańca do krańca okrytej różami, których szkarłaty prześcigają w świetności królewskie purpury, a wnie słodkimi snami kołyszą może głowy nawet umarłych. Omdlały wzrok jego dawną, pogodną wesołość przypominał.

— Cudności! — rzekł — cudności! A może i teraz choć w jesienniej porze, te róże tam kwitną?

Chciałam, aby myślał, że kwitną tam one ciągle przez rok okrągły.

— Ciągle, przez okrągły rok one kwitną.

— Cudności! — zadziwił się jeszcze, na południo-wschód spojrzął, a potem palcami policzka dotykając, przenikliwie, z tajemnym jakimś upragnieniem we mnie się wpatrzył.

— To może on... pod temi różami? — zaszeptał.

Oddech w piersi zatrzymać musiał, bo gwizdząca dudka na chwilę w niej umilkła.

— Najpewniej! — odpowiedziałam.

Uśmiechnął się.

— To dobrze, to chwała Bogu! piękny nagrobek...

Uśmiechając się do myśli własnych, milczał chwilę.

— A za tą doliną... co tam?

— Za tą doliną są winnice, pyszne, pachnące, po zielonych wzgórzach rozpięte, złotemi gronami jagód osypane.

— To może on za tą doliną... pod temi winnicami?

Może. Milczał, myślał.

— To już inaczej być nie może, — z rozwagą i stanowczością zaczął — albo na tej dolinie, albo za nią... albo pod różami, albo pod winnicami...

Zapytałam, czy Jadwisia za męża wyszła?

— A jakże! Na Wszystkich Świętych skończy się rok już po jej godach weselnych. Jeszcze wtedy nijakiej wiadomości o Kaziu nie było. Jeszcze myśleliśmy, że kiedykolwiek...

Kował, w południowo-wschodnią stronę nieba spojrzął.

— W dolinie róż... hm! mój ty Boże... pod różami...

Mówić zaczęłam, że strasznie pusto musi być teraz w jego domu! Zupełnie samotnym przecież być nie mógł; czy ktokolwiek z nim mieszka?

— A mieszkają... mieszkają — z widocznym roztargnieniem odpowiedział. — Babę starą do nijakiej ciężkiej pracy już niezdatną wziąłem, aby tylko jeść warzyła a płachty czasem wyprała. Dla pomocy zaś w gospodarstwie, chłopiec jest, najemnik, niedorostek... do bydła i do brony ledwie zdatny, bo dorosłego opłacać... opłacać...

Stawał się tak roztargniony, że tego co mówił, dokończyć nie mógł. Natomiast, ze wzrokiem w dalekie chmury utkwionym, zaszeptał:

— A może i za doliną róż! Mój ty Boże! może pod winnicami...

Teraz w takie już wpadł zamyślenie, że zupełnie o mnie zapominając, machinalnie położył dłonie na rączkach pługa, i na konie przeciągle zawołał:

— Hecej!

Konie ruszyły, lemiesz zarył się w ziemię, a na nim, ze zgarbionymi plecami i krokiem tak ciężkim, jakby za każdym razem stopy jego rwać musiały jakiś łączący je z ziemią węzeł, postąpił ojciec Kazia... Silny powiew wiatru zakłębił nad nim chłodną i mokrą i jak ziemne skrzydła rozwiął poły jego kapoty. Po chwili jednak uspokoiło się znowu powietrze, a z za przeredzonej mgły zobaczyłam starego oracza, samotnie wśród szerokich pustych przestworów, popychającego pług po czarnej ziemi. Raz, iść za pługiem nie przestając, podniósł głowę, twarz ku południo-wschodowi obrócił, po ruchach ust jego odgadłam, że szeptał:

— Może w dolinie... może za doliną róż!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/za-dolina-roz/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Drobiazgi, Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1892.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0665-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.